



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-

wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

CIERPIEĆ („Pati”)

(z Wiktora Hugo).

Przecznie umrzeć natychmiast? Świat życie prze-
[cienia.

Starzec się, by mieć więcej wyrzutów sumienia,
Gdy duszę sam już Bóg wyjmie ci z łona?
Czemu zwlekasz, gdy tyle łożnic zimnych czeka
Na cię, oblubienico blada? Jęk człowieka
To pieśń weselna, na cześć twą nucona.

Przecznie skończyć? Krwawemi płakać codzien-
[łzami—

I żyć?... Po co?... Trucizna, czyż pogardzi nami?
Lub otchłań czarna, czyż nas się wyrzeczy?
Nóż mój szydzi z mych cierpień, gdy skarzę się
[na nie;
Ocean, zawsze gotów roztworzyć otchłań,
Czyliż nie woła: „Głupiś ty, człowiecze!”

Czyż Brutus zgrzeszył? Kato zbłądził? Ci ze stali
Zapaśnicy z przemocą, czyliż się wahali
Zamknąć powieki dumne?—Co? Ciekawe
Były może widoku tych dwu Rzymian oczy,
Jak wóz za wozem, skrzypiąc, po drodze się toczy,
Lub jak na łąkach wiatr ugina trawę?

Zrozumiawszy ironią— Dość!— rzekli. Strzałami
Losu nawskroś przeszyci, tarcz strzelecką sami
Nagle zrzucili z siebie, i biali

Umarli, hańbą gardząc.— Marzyciele! Śmiało
Śmierć nad życie sromotne, ideę wspaniałą
Nad niemożebność wyście przekładali.

Śmierć wstawiała z otchłani i szła ku nim—blada.
I legli ci mężowie przy niej. Tak wypada.
Wszak z nią zasypiać—nasze przeznaczenie.
Na smutne zaślubiny, oblubieńcy mili
Szli poważnie; na palec skieletu włożyli
Rzymskich rycerzy dwa złote pierścienie.

Któż imiona ich dzisiaj z naganą wymienia?
Oni wątle skruszyli kraty przeznaczenia,
Oni-to wyłom dla duchów zdziałali.
I człowiek—wichrem smagan, upowity w chmurę,
Na wyżynie mądrości i cnoty, ponure
Dotąd ich cienie widzi w mrocznej dali.

Tak. Zdrożność Brutus spełnił! Błąd w czynie Ka-
[tona!

Mędrzec—złe ztąd odchodzi; bohater—złe kona.
Samobójstwo zwie się ucieczką grzeszną.
Bóg, co gasić pochodnią moc zostawił sobie,
Gdy ci wielcy, zdyszani, zjawili się w grobie,
Jedno im tylko rzekł słowo: „Zaśpieszno!”

Drwić z losu, kielich spełnić do dna, do kropelki
To szczytne! Człowiek wielki, to męczennik wielki!
Czekać—jest cnotą surową i wzniosłą!
Mędrzec czeka, aż z liści zielonych pokrywy
Kwiat cykuty wystrzeli, a zaś Sprawiedliwy
Czeka, by drzewo Kalwaryjskie wzrosło.

Sokrates lecz nie Brutus! Chrystus, lecz nie Kato!
Umierać, śpieszyć?... Po co?... Odpowiedź na to?
Wierni, niech cierpią, światło wiedzy nieca!

Uciekać, wprzód nim zima całun swój roztoczy?
Wprzód nim lazur nieznany ujrzą wasze oczy?
Wprzód nim jaskółki wędrowne odlecą?

Sądziś, że cię zapomną, tułaczu sierocy?
Myślisz, że cię nie pozna ponury wiatr nocy,
Ze cię obronią murów twych pancerze,
Gdy on przyjdzie wymiatać na północ—proch,
[mary,
Spadłe liście umarłe i zmarły świat stary?
O, bądź spokojny! Tak! On cię zabierze!

Jak każdego z nas, ciebie odszuka on wszędzie.
I trup twój, który oto je i pije, będzie
Starty w proch, w miazgę, w błoto, w nicość
[zgoła!

Na grobie twym niepamięć i mrok się rozgości—
I nieskończoność przejdzie po tobie.—Wieczności
Dla wszystkich starczy jeden obrót koła.

Jesteś zwykły śmiertelnik? W duszy ci ubogo?
Żyj; płacz—i krok za krokiem, idź twych losów
[drogą:

Robak poziomym, zostań przy poziomiel!
Jakim prawem śmiesz budzić piorun i grobową,
Z błyskawiczną żrenicą, wyzywać królową,
Prochu ty, cieniu w okowach, atomiel!

Lecz, jeśli wiek twój świadkiem swoim chce mieć
[ciebie,

Przyjmij szafot, wygnanie! Niech duch twój, w po-
[trzebie,

Sam niewolnikiem wzoru się uczyni.
Kamień zpod szubienicy siłą magnesową
Nieba dzwiga się, wstaje z kostnicy—i owo
Już jest frontonem narodów świątyni!

Nie skracaj samobójstwem czasu, co ci płynie
Zwolna, w mękach,— w koronie ducha na wyżynie!

To próba. Przyjąć— musimy ją— całą!
Konaj, siwiej, lecz nie mów: „Meta zadaleka!”
Godzina za godziną gasnąć, los człowieka!
Po kropki sączyć Niebo lzy kazało!

Cierpienie— jest zbawiennem. Życ, to walczyć zna-
[czy.

Chcesz być wielkim? Za losem idź, lecz bez roz-
[paczy!

Pij, lecz kielicha nie śmiej zgnieść pod nogą!
Niech duch twój wybieleje, jak wschód. — Archa-
[niołem

Bądź śnieżnym, z uśmiechniętem spójrzaniem,
[i społem—

Tytanem, z chmurą na czole złowroga.

Dzień każdy krew z nas toczy, jak kat, bezlitośnie.
Nie! Śmieć się, krwią ociekły! Tak bohater rośnie!

Tak człowiek szczytnem czyni swoje życie,
I staje się z tych jednym, co, jako latarnie,
Wiekom świecą.— Ich— ludzkość, gdy ją noc ogar-
[nie,

Widzi w promieniach, na tej nocy szczytel!

Człowiek — mrók jest. — Niech cierpi, a w słońce
[stanie rzedzie!

Bóg dobry, gdy chce, z węgla brylant wydobędzie.
Blask zorzy jest w nas, chociaż mgłą my sami.

I wszechświat jest otchłanią ciemną, lecz z niej
[tryska

Promień, co nam ozłaca noc i cmentarzyska—
A źródło jego— po-za ciemnościami.

Dusza pęka pod losów, obowiązków grottem.

Bóg, ten kowal obrzymi, czarnym swoim młotem,
—Co w klęskach wszystkich ludzkości wciąż
[dzwoni,—

Na kowadle, co świat je lazurem orzeka,
Kuje mroki, noc, otchłań, mrocznego człowieka.

Iskry z nich— gwiazdy w przestworu toni!—
Klemens Podwysocki.

Kartka z pamiętników poety.

(Dalszy ciąg).

III.

W owych systemowych warstwach, narzuconych od wieków jedne na drugie, spoczywają rozliczne próby rozwiązania zagadki świata i wybrania mu drogi celowej. Idea ta stawała się to liczbą, to miarą i wagą, to przyciąganiem się ogromów i atomów, to niezbadanym przypadkiem, który nie wiedzieć z kąd się wziął, lub zawiloscą niewolniczą wszystkiego od wszystkiego, t. j. całości od części, a części od całości — tak, że świat obracał się tam i napowrót bez żadnego stanowczego punktu oparcia i wracał tam, z kąd wyszedł, jak drewniane konie w karuzelu, którym jeżdżą dzieci, póki im się w głowach nie zawróci. Zabawiano ducha teorią i metodą, metafizyką, astronomią, fizyologią i chemią, socjologią i fizyką, i wszystkim, co było pod ręką, a geniusz filozofii, nieśmiertelny, wolny i nieprzyćmiiony, drżał w błękitnym niebie z oburzenia nad tą fabrykacją wzniosłych celów i pytał Boga: za co to wszystko cierpi?

Pokrzyżowanie tych zawiłych dróg badania ludzkiego, ten chaotyczny labirynt przypuszczeń, to duszące powietrze systematów, potrzebne może być musiały a pozytywne być mogą, choćby tylko dla okazania człowiekowi, że świat doświadczem,

który on nazywa dziś starym, jest jeszcze prawie dziecinny, i że mu trzeba będzie mieć dużo cierpliwości, nim się z tych pierwszych stopni podniesie. Niech tylko zostawi poza sobą pychę, tego Minotaura filozoficznego labiryntu, a Prawda niczem nie zaćmią sama go logiczną nitką Aryadny z chaosu wywiedzie.

W takich-to okęgach ducha przebywa myśliciel. On uwolnić się może, i nawet w części powinien, od wrażeń chociażby najbardziej uroczej doczesności, bo ona go z toru sprowadzić może i wielkim swoim wpływem odbić się w jego zaświatowej pracy. Nie znaczy to, aby on miał lekceważyć cośkolwiek z widzialnej rzeczywistości, bo przecież ona właśnie jest jednym z kluczy do otwierania zagadnień oderwanych; ale nie będzie on nigdy stał subiektywnie pod jej wpływem i działaniem, lecz właśnie będzie nad nią panował i będzie z niej brał, co mu jako fakt dowodzący danej prawdy ducha służyć będzie mogło. Wśród rozkwitającej wiosny, daleki od ludzi, on siedzie i oczy ukryje w dłoni, przenosząc się w swój świat tajemniczy, czystszy i barwniejszy od wszystkich piękności ziemi, i jak samotny Seneka w owej willi zasypanej różami, powie sobie, znudzony błahą rozmową tłumu: „Ile razy poszedłem między ludzi, mniejszym wróciłem człowiekiem“. I kwitnąc będą nad nim laury i mirty białe, słońce upadnie w głębię wód, jak w złotej zbroi Alexander Wielki, zostawiając purpurowy płaszcz na brzegu horyzontu; przez błękit gwiazdy przesuwać się będą, jak straż świetnych pretoryanów w okół bładego księżycyca-Cezara, co znużone życiem czoło opiera o srebrnych chmur wezgłowie. Błędne ognie, jak duchy niespokojnych sofistów, migoczą w gęstwinie spleśnianych zarośli, a nad całą smętnością rzeczy ludzkich przechodzi uroczysta, poważna, łagodna, cisza majowego wieczoru. Myśliciel będzie dumał dalej; najśłodsze szmery czasu nie oderwą go od słuchania tajemniczego szelestu, stąpającej naprzód wieczności...

Ja-bym tak nie wytrzymał!

Ja-bym się zerwał i lotem strzały poleciał nad brzeg morza patrzeć kędy słońce zapadło pod falami kołyszącego się lazuru; ja-bym zrywał kwitnące gałązki i przyciskał je do piersi z całym zapalem miłości; ja-bym śledził połyski błędnego ognia i włosy odrzuciłbym z czoła, aby mi księżyc położył na rozmarzonych skroniach swój dyadem mistyczny; ja-bym musiał poddać się tej naturze, a upojony czarą kolorów i wonności, musiałbym znowu pójść do ludzi i ducha im mego błysk po błysku wypromienić i samemu zaczerpnąć oddechu z ich piersi uniesionych natchnieniem...

Ze mną takby się stało.

Bo ja nie jestem myślicielem.

Bo ja jestem—poetą.

Mnie trzeba świata wrażeń idących wprost z zewnątrz ku mnie, ogarniających moją fantazyą, któraby po nich pięła się, jak powój, do góry. Oczy moje zachwycać się muszą widzeniem cudowności przyrody—słuch mój musi tonąć w harmonii wiosennych gwarów. Nieraz dawniej, szczęśliwy nie wiedzieć czem, podnosiłem w górę kielich rozwiniętej róży i wołałem: „Niech żyje miłość, poezya, życie i wszystko co jest“. Albo, opierając głowę na piersiach mego przyjaciela, mówiłem mu godzinami co mi tylko przez głowę przeszło, a on ze smętnym swym uśmiechem odpowiadał: „Jaki ty szczęśliwy jesteś, że możesz być tak łatwo szczęśliwym!“ i oczy jego spokojne, badawcze, zatapiały się znów spójrzaniem w jakimś niewidzialnym punkcie przestrzeni. On rozmyślał bez żadnych zewnętrznych roztargnień, a ja — „wypadkami myśli żyłem w siódmym niebie“. Myśl filozofa, jak prosta koryncka kolumna, wznosi się do góry, samodzielna i odosobniona, rozkwitając u szczytu poważnym wieńcem zaziemskich wyników; ale myśl poety, lekka, polotna, gnąca się, powiewna, musi mieć podstawę rzeczywistości i na niej oplatać kwitnące gałązki swoje. Rzeczywistość, jeśli ma wywołać poetyczne działanie, musi całą potęgą wrażeń uderzyć o duszę poety; musi go opanować i stać mu się dotykana, bo ona jest jego natchnienia i talentu materyałem. Może to być rzeczywistość, czy historii, czy przy-

rody, czy serca, czy jakakolwiek najdrobniejsza widzialność, albo też rzeczywistość idealna, ale zawsze stojąca dostatecznie na ziemi, aby nie była absolutną własnością filozofii. Filozof, choćby był zmuszonym dla całości i dokładności swych badań dotknąć się drobnych doczesnych rzeczy i uleść czasowemu wrażeniu, zawsze ma oczy zwrócone ku górze, gdzie jest cel jego, oblekający się jedynie w eteryczne ciało myśli; poeta zaś z najwznioślejszej sfery idei spogląda ku ziemi, i choćby był jej geniuszem, jak nieraz, sięgającym błękitnej wyżyny, musi czuć pod stopami piedestał rzeczywistości, która jest mu punktem wyjścia i podporą tworzenia.

Zdolność odbierania wrażeń zewnętrznych— jest to jeden z najpierwszych warunków talentu, bo zatem idzie rozwój świata wewnętrznego. Człowiek przechodzący obojętnie wśród przyrody i ludzi, którego nic nie zajmuje, nie cieszy, nie gniewa, ani oburza, nie zachwyca, ani wzrusza— nie rozwinie w sobie życia myśli i poruszeń serca i będzie stał jak martwy pod działaniem świata, jakby izolowana istota, usunięta z pod jego wpływów ożywczych.

Obojętność podobna byłaby nieszczęściem, prawie nie do zniesienia, gdyby człowiek taki znał i czuł swój stan apatyczny; ale tego rodzaju wpośenne manekiny lubują się nawet w swem egoistycznym zastęgnięciu lub nie zdają sobie po prostu z niego sprawy, dziwiąc się innym, których życie przez drogę bezustannych wzruszeń prowadzi.

A moja wrażliwość poetyczna, gdzie się podziała? O, ja nie byłem nigdy obojętnym, dusza moja plonęła i otaczała ciepłem swoim najdrobniejszy szczegół mego życia: dlatego teraz tak cierpię nad tym chłodem, co mnie opanował i trzyma w uwięzi.

Cierpię na milczenie zmysłów — i to jest okropne.

Chodząc dziś po łąkach za miastem, gdzie już jest zielono, szukałem pierwszych kwiatów. Nachyliłem się nad strumieniem i spotkałem błękitne oczy niezabudki. Patrzyły do góry, wprost na mnie, spójrzaniem dziecka; znałem te oczy kiedyś, rozumiałem ich wzrok, a dziś smutno mi było w nie patrzeć, bo to były oczy zagasłej mojej poezyi. Z fali strumienia wyjrzała do mnie zobaczyć, jak też wyglądam, nie będąc już poetą. Błądziłem po gaju, zawstydzony prawie, że kiedy wszystko kwitnie na wiosnę; ja tylko z siły mej młodej duszy nie wydobywam nic pięknego, nie barwnego, nic coby miało widzialną zasługę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Odpowiedzi na kwestyonaryusz rodzinny.

(Dokończenie).

List VI, z Podola, opiera cały gmach poprawy naszego obecnego stanu na zmienionem wychowaniu. Jeżeli wyrobi ono zamiłowanie pracy—uczyni już rzecz najważniejszą. Praca wtedy stanowi potrzebę i jest rzeczywistym zapełnieniem życia, w które już wtedy nie wstąpi nuda z całym orszakiem wad swoich, z chęciami zabawy, która gdy raz zajmie szerokie znaczenie w życiu kobiety, zwicnie je, przedstawiając się jako cel jego główny. Tak bywa dla pańien niezajętych; zdaje im się, że przez zabawę mogą sobie jedynie torować drogę w świat wiodącą, i nie zmienia tego bynajmniej owa wyższa dziś nauka, którą dostaje dziewczę kończące sześcioklasową szkołę. Trzeba, aby za powrotem do domu spotkała się zaraz z jakimś praktycznym zajęciem, któreby obok owej nauki uzdolniało do pracowitego istnienia. Przyzwyczajenie do pracy odmłodu—rozstrzyga o szczęściu i dobrobycie całego życia. Korrespondentka kreśli tu obraz rodziny niemieckiej z warstw życia już wyższych, rodziny generała bawarskiego, barona D...

z którą spotkała się w r. 1880 nad jeziorem Starnberskiem. Mieszkało w jednej willi; stosunek był bardzo przyjemny i o tyle poufały, że dawał poznać cały wewnętrzny układ życia. Rodzina niemiecka żyła na skalę osób zamożnych z wyższych warstw społeczeństwa; zajmowała tu całe 1-sze piętro willi, a w Monachium miała apartament odpowiednio piękny i wygodny; abonowano stale łoża w operze: niemniej córki, których było pięć, zajmowały się gospodarstwem, nietylko, dając mu swój dozór i kierunek—nie. Była tu osobista praca, grająca ważną rolę w oszczędnościach domu. Każda córka obszywała się sama najzupełniej i robiła sobie suknie i stroje, a po kolei zajmowały się tygodniowo: ta gospodarstwem i kuchnią, ta praniem i bielizną, którą te generalówny, te baronówny, własnymi rękami prasowały. Polka wydała się z podziwieniem swoim nad ich pracą, co z kolei zadziwiło Niemki. Raz, gdy chodziło o robotę sukien, jedna z tych córek generalskich zawołała: „Jest nas pięć pannień, ileż-by więc kosztowało to ojca, gdyby płacił za robotę?” I rzeczywiście co-by to był za budżet rozchodu, jak rodzina musiałaby sobie uszczuplić przyjemności życia, używania sztuki, wyjazdów—gdyby nie to, że pięć córek wykonywało wszelką możliwą pracę domową! Rodzina też, choć tak liczna, była szczęśliwa, niezakłócona troską o grosz, nieskwaszona przez doznawane braki i nigdy nietrapiona nudami. Korrespondentka nasza była niesłychanie zadowolona, że taki dobry przykład stanął przed oczyma jej trzynastoletniej córki w żywym obrazie życia, które okazało jej się szczęśliwym, wesołym i pełnym najmielszego używania, dla tego, że było czynnym i pracowicie zarabiającym na używany dobrobyt.

— Pracy! pracy—jako podstawy życia, wychowania uzdolniającego do niej!... woła też korrespondentka i dodaje, że, aby to otrzymać dla dzieci swoich, chowa je wszystkie za granicą, przeznaczając im na tę naukę pracy dziesięcioletni tam pobyt. Szczegół ten dotyka bardzo ważnego przedmiotu wychowania poza krajem i nie można też rozstrzygnąć go tu w sposób dodatkowy. Wrócimy do tej kwestyi, która przecież przy pierwszym na nią rzucie oka wprawia umysł w niepokój. Praca,—to chleb, który muszą posiadać ludzie i narody, aby żyć, ale z drugiej strony, nie samym chlebem się żyje.

List VII, z *Poznańskiego*, stawia nam też przykład przed oczyma i każe nam od nich uczyć się życia. Powyżej był ilustrujący ich pracowitość obrazek, tu pokazujący nam ich oszczędność w używaniu. Polak, bardzo dobry gospodarz, i pracowity człowiek, sprzedał wieś, która od wieków należała do jego rodziny—sprzedał, nie pod przymusem długów, jako bankrut, ale uprzedzając taką smutną konieczność, i tylko z przyczyny, że się na wiosce niewielkiej utrzymać nie mógł z rodziną, której musiał dawać wykształcenie. Z kapitałem, który mu się pozostał, osiadł w Poznaniu, gdzie, żyjąc bardzo skromnie, posyła synów do gimnazjum, córki na pensję i naukę robót, a wieś sprzedana zmieniła po upływie lat pięćciu właściciela i ostatecznie dostała się w ręce Niemca. Nowonabywca ma też żonę i kilkoro dzieci, kształci synów w Berlinie, córki mają guwernantkę z Drezna przywiezioną, osobę bardzo muzykalną, bo i dziewczęta, które uczy, okazują wyższą zdolność do muzyki. Zatem rodzina niemiecka ma potrzeby niemal takiesame, co rodzina polska, nie zdaje się też, aby posiadała jakiś inny majątek, jakiś procentujący się kapitał, tak już poważny, aby się w dochodach zaznaczył, jednak żyje, utrzymuje się i zapewne osiedliła się na stałe tam, z kąd właściciel Polak ustąpił, istnieć nie mogąc. Jaka tego przyczyna, zważywszy zwłaszcza, że gospodarował on wzorowo? Oto żył inaczej, niż żyje Niemiec, który wedle spostrzeżeń, zrobionych przez ciekawych tej zagadki, nietylko ma stosunki towarzyskie bardzo ograniczone, bardzo mało bywa i bardzo mało przyjmuje, ale tak się umie obywać płodami gospodarstwa swego, że nawet wołowego mięsa bardzo niewiele kupuje w miasteczku sąsiednim, zastępując je wędlinami domowej uprawy. Niemka warzy w domu lekkie piwo na własną potrzebę, mąż

pali tytuń też domorosły i tak dalej, z dodatkiem, że dużo drobiu i zwierzyny, oraz ogrodowizny sprzedaje w Poznaniu. Polska rodzina i kupowała wiele więcej, i prócz ogrodowizny, nie zbywała nic z wyżej wymienionych przedmiotów. Jak te Szwaby zatem żyją?—pyta tu niedługo głoś szyderczy. — Żyją skromniuchno, ale utrzymują się na kawałku pracowicie nabytej ziemi, choć dla nich nie ma ona tak świętych węzłów, jakimi wiązała się z tym, co ją porzucić musiał. Przypadek zdarzył, że pisząca list ten osoba, myśląc smutnie o tych różnicach, spotkała znajomą, która wracała z Landeck i opowiadając dzieje swego kilkotygodniowego tam pobytu, wtrąciła żartobliwy szczegół o ziemskich właścicielach tamtejszych, Niemcach panujących nad biednym ludem szlązkim.—Kiedy Niemiec zje na pieczyste indyka, jest to taka feta, że pióra roznoszą się w koło dworu, aby ludzie wiedzieli, jakie tu było używanie sute... Słuchająca tych słów, nie mogła się śmiać wraz z opowiadającą, ale siadła i opisała to jako odpowiedź na kwestyonaryusz rodzinny.

Dwa listy, VIII i IX, odnoszą się głównie do uwag nad zbytkami kobiet w strojach, i nad tem, że kobieta gospodaruje coraz mniej wedle dawnego systematu, który produkował w domu, oile mógł najwięcej, tak przedmiotów spożywczych, jak wszelkich innych domowego użytku. Dziś kupuje się to wszystko za gotówkę, a na uwagi czynione sobie pod tym względem, gospodynie odpowiadają, że wyrób domowy już się dziś nie oplaca, gdyż ceny najemnika i koszt utrzymania służby podniósł się w stosunku takim, że zysku wcale niema. W liście IX, z *Mławskiego*, korrespondentka—(bo oba pisane są przez kobiety)—odpowiada przecząco. Zysk jest, jakkolwiek nie tak znaczny, jak był niegdys, gdy wyrób fabryczny kosztował wiele drożej, a wyrób domowy niezmiernie mniej, niż obecnie. Gospodynie tego małego zysku za nic sobie nie liczą, a jednak ma on niezawodnie swoją wagę: brany pojedynczo, jest drobnostką, razem wzięty stanowi przecież wiele. To, na co zwracał uwagę list II (z nad Pilicy), wychodzi tu na wierzch: nie rachujemy, a nie rachując, nie możemy zdać sobie jasno sprawy: co i jak w gospodarstwie naszym, w naszym trybie życia zmienić potrzeba?

Korrespondentka widzi tu przecież inny jeszcze, a bardzo niekorzystny, objaw: małych zysków nie liczy się za nic! Czy przypadkiem nie jest to dowodem, że nie warto dla mało znaczącej korzyści poświęcać się zmuśnej, męczącej pracy. Co przecież będzie robiła przez ten czas? Jakież-to zyskowniejsze jej zajęcie przysporzy rodzinie mienia? Nie będzie nic robić—będzie się nudzić, albo zajmie myśl i ręce strojem, a tak jedno, jak drugie, sprowadza za sobą chęć zabawy i rozszerzenia stosunków towarzyskich, co wszystko oddziaływa zabijająco na byt rodziny. Korrespondentka z *Mławskiego*, kładzie winę tego niedobrego usposobienia kobiety pokolenia młodszego na to, że dziś dziewczęta za długo przebywają poza domem, że się od gospodarstwa odsuwają, a co więcej, że patrzą na nie lekceważąco, jako na coś — nie błahego, nie, ale niedołącznie, lichy prowadzonego. Niech prowadzą lepiej,—tego właśnie potrzeba, bo każde pokolenie powinno stanowić w postępie jeden krok naprzód, ale cóż, kiedy się tak nie dzieje i gospodaruje się jaknajmniej na zasadzie, że najpierw w domu produkować nie warto; powtóre, że wyroby domowe są gorsze. Jest w tem względna prawda: może produkcja domowa stosunkowo do fabrycznej jest gorsza,—jest nawet, co również chcę przyznać, mniej doskonałą, ale nam tu chodzi przede wszystkim o oszczędność rodziny, która się z fabryką nie ściga, na polu przemysłowym do konkursu z nią nie staje, ale dla swojej potrzeby i dla swego interesu—dla swego zysku pracuje.

Korrespondentka z *Mławskiego* umie patrzeć w głąb' interesów rodziny, w głąb' domów naszych. Redakcyja w artykułach swych wstępnych o pracy kobiecej dochodziła do tychsamych wniosków, na obserwacyi życia też opartych: objawia się między kobietami pewna dążność w stosunku do rodziny odśrodkowa—zgubna, bo mogąc zmie-

nić z gruntu życie rodzinne, względem którego działa ona rozkładająco, demoralizująco.

Rys to charakterystyczny, że w czterech listach (na jedenastcie), odzywa się skarga na dzisiejszą naukę dziewcząt. Nie chodzi wcale o to, aby się dziewczęta mniej uczyły, nie... Nauka głębsza, obszerniejsza, tylko może umysł uczynić głębszym, szerzej ogarniającym życie, jego zadania i obowiązki,—ale zachodzi tu co innego. Głosy podnoszą się właśnie przeciw temu, że nauka kobiety jest obecnie rozległą, ale płytką, że daje wiele wiadomości, ale powierzchownych, więc przy pewnej *wiedzy powierzchownej* sprowadza często zarozumiałość, gdy drugostronnie nie oddziaływa kształcąc, edukacyjnie na wyrabianie się charakterów, i pod względem moralnym, nauka dzisiejsza trzyma się obojętnie. Jeden z korespondentów, sam człowiek wyższego wykształcenia, niegdys student Szkoły Głównej: wyraził się żartobliwie o dzisiejszej edukacyi kobiet, że jest to mnóstwo *próbek materyi* naukowych, któremi system dzisiejszej nauki obdarowuje kobietę.

Dział listów drugi—odpowiedzi radzących jak zdobywać środki przysporzenia rodzinom dochodu przez zarobek,—obejmuje tylko dwa listy: 1-szy z Warszawy, zwraca uwagę na szczęśliwy początek nauki koronkarstwa, które jest przemysłem, ztąd wysoce cennym, że jako domowy, nie wyrwa kobiety z rodziny. Tylko rzeczą konieczną dla jego szerszego rozwoju jest nie koronkowa produkowana na miejscu, bo wprowadzanie cłem obłożone, musi ceny koronek naszych podnosić i mnóstwo kobiet zagranicą zaopatrywać się będzie. Belgia uprawia pewien szczególnie gatunek konopi, z których się ta nie otrzymuje w tym gatunku już wyższym, z którego wyrabiać się mogą jedynie koronki droższe. Ztamtąd należy zasięgnąć wiadomości, jakby wyrób nici koronkowych zaprowadzić u nas, co nie wymaga nakładów kosztownych, bo najpiękniejsza, najcenniejsza nie koronkowa nie jest wyrobem fabrycznym, lecz przedzie się ręcznie, i to na przesyłkę i wrzecionie, a jestto wyrób przez swoją delikatność i kunsztowność wymagający tak niezmiernie delikatnego i kunsztownego postępowania, że ztąd właśnie może stworzyć korzystną gałąź zarobku dla kobiety klas wyższych, której ręka delikatna jest i drobna. Korrespondentka obiecuje obdarzyć pismo nasze wiadomościami, które zbierze na miejscu, a na zakończenie dodaje, że praca ta nie może dotyczyć żadnej próżności czy przesądu rodowego najwykwintniejszej damy, bo właśnie w rodach arystokratycznych przechowują się dotąd śliczne, kosztowne kółka z hebanu i kości słoniowej, z hebanu i koralu, na których przedły księżne i wojewodziny. Przytem każda kobieta zamożniejsza bawi się haftem, robotą szydełkową: czemuż więc gorszem miałoby być przedzenie?

Pisze to pani bardzo wysoko w hierarchii towarzyskiej położona i ztąd rachuje się z przesądem, który znika coraz więcej i zniknąć musi zupełnie, jeżeli tylko nie ma przepaść całkowicie to właśnie, co starym rodem jest drogie przez uczucie wyższej szlachetniejszej natury, niż dumę rodową: utrzymanie się przy ziemi, co jest posterunkiem obywatelskim.

List drugi z *Sandomierskiego* porusza nie nową u nas ale w zakresie gospodarstwa domowego ważną kwestyją wiejskich sklepów spożywczych, to jest takich, gdzieby towar, nie przechodząc przez kosztowne pośrednictwo przekupnia, lub nawet kilku przekupniów, dostawał się konsumentowi z pierwszej ręki, niefałszowany. Sklepów takich założono w ostatnich latach w Warszawie kilka, przecież padły wszystkie z żalem tych, którzy widzieli w nich nowe źródło dochodu dla wiejskich producentek. Nie konkurrenca, ale wadliwa ich organizacyja zabiły je, i to samo powtórzyło się w Sandomierzu. Korrespondentka donosi, że w r. 1883 założono tam sklep taki, na którego czele stanęła kobieta, będąca też niegdys gospodynią wiejską, więc znającą się na przedmiotach tego handlu, i po potrąceniu na swoją korzyść procentu dziesięć od sta zajęła się sprzedażą. Zpoczątku szło bardzo dobrze, obrót dzienny był na kilkanaście rubli, co mogło utrzymywać się stale, bo nietylko miasto samo, które jest po-

Obchód 14 Lipca, choć pozbawiony wielu z dawniejszych szczegółów urzędowych świątek, odbył się dosyć porządnie. Widocznie jednak brakło mu entuzjazmu, jaki zwykle okazują Paryżanie, na tych igrzyskach ludowych. Usunięcie z programatu wielkiej rewii wojskowej w Lasku Bulońskim mogło być jedną z przyczyn tej względnej obojętności, bo, jakkolwiek demokraci dzisiejsi dążą do tego, aby wojsko zniknęło ze sceny narodowej i przeszło w amerykańskie pospolite ruszenie, ogół przecież Francuzów, a Paryżanie przede wszystkim, nie podzielają wcale tej doktryny, która zastosowana do natury burzliwej, lekkiej i niestałej tego kraju mogłaby wydać najsmutniejsze skutki, dzwoniąc właśnie na kazanie ks. Bismarcka.

Ten-to pogląd na tę kwestyę, niezmierniej dziś wagi dla Francji, i prawo wojskowej reformy, zawotowane przez Izbę deputowanych—dały powód do znakomitej bardzo literackiej pracy, ogłoszonej w *Revue des deux Mondes* (15 Czerwca i 15 Lipca), pod tytułem: *Wojsko i Demokracja*. Artykuł ten, wydrukowany bezimiennie, uderzył tu czytelników przeglądu, najpierw głęboką znajomością przedmiotu, a następnie niesłychaną dosadnością stylu, który chociaż ma w sobie pewien ton deklamatorski, odznacza się jednak niezmierną ścisłością, tak, że każde tu słowo uderza i wazy. Ponieważ zaś nie się tu ukryć nie może przed czujnym okiem dziennikarzy i przed zaciekłą ciekawością publiczności, wiadomą zatem jest rzeczą, że tę pracę wystawiły wspólnym trudem dwie znakomitości: jedna, należąca do grona reprezentantów narodu w Izbie, druga znana w wojskowości; krótko mówiąc, z udzielonych przez generała margrabiego de Galliffet specjalnych wiadomości złożył i napisał tę bardzo cenną rozprawę deputowany p. Stefan Lamy. Nie wchodzę tu w rozbiór pracy, z którą każdy łatwo potrafi się zapoznać w tak rozpowszechnionym przeglądzie. Powiem tylko, że ta kwestya tem żywiej i głębiej mnie dotknęła, iż wskazuje wymownie i jasno—te właśnie wady, braki i niebezpieczeństwa, o które się niegdyś rozbiła i nasza uawa ojczyzna.

Jakby umyślnie dla pokazania odwrotnej strony tej kwestyi, jakby dla obrony zawotowanego prawa, które przechodzi pod rozwagę Senatu, wyszła na świat, jeszcze jedna książka dotycząca się spraw wojskowych. Już przed jej ukazaniem się narobiły o niej hałasu dzienniki. Najpierwszy *Le Paris*, dając jej za tytuł: *Przyszła Wojna*, przypisywał ją p. Thibaudin, dawniejszemu ministrowi wojny, i skrytykował surowo autora i jego dzieło. Inne dzienniki powtórzyły tę wiadomość dodając każdy od siebie swój komentarz i rozprawiając o książce niewydrukowanej jeszcze. W skutek tej polemiki, w której Thibaudin-Caumany dostał po uszach, zabrał on wreszcie głos, i wystąpił z kategorycznym zaprzeczeniem swojego autorstwa. Nareszcie, sprytny wydawca, który sam może tego piwa nawarzył, na tak przygotowaną scenę wyprowadza książkę, zawiadamiając przytem, że ona ma za tytuł: *Odwet* (*La Revanche*); nie zaś, *La Prochaine Guerre*. O autorze nie wspomina ani słówka, autor pozostaje anonimem, co pozwala dziennikom pociągać i dalej do odpowiedzialności Thibaudina jako mniemanego autora. Oprócz tej osobistej polemiki książka nie ma żadnej wartości, nie przynosi ona żadnego nowego faktu, nie rzuca żadnego światła, na dość zawiłą kwestyę, redukcji do lat trzech, obowiązkowej służby pod sztandarami; napisana stylem bez barwnym i ciężkim, czyta się z trudnością. Jednym słowem: jest to produkcja, jakie tu tuzinami całemi przechodzą bez zwrócenia na siebie uwagi publiczności. Ten niedostatek jedności i blasku w stylu przypadłby dosyć dobrze do dawniejszego ministra, który nie jest sokołem; ale są tu tak grube i ciężkie pomyłki w niektórych datach i faktach, jakichby nie mógł popełnić p. Thibaudin.

Dzisiejsi demokraci we Francji bez względu na różnice odłamów i odcieni swoich czują taki wstręt i nienawiść do wojska urządnego w osobne rzemiosło, że wykrzyknik: „do koszar!“ daje się słyszeć dosyć często i w Izbach i w klubach, skoro tylko mówca dotknie się kwestyi wojska,

z uczuciem jak dawniej, sympatycznym i popularnym. „Do koszar!“ wołają mu wówczas głosy ze wsząd, dając tym wyrazem toż samo znaczenie, jak mówiono niegdyś: „à Chaillot!“

Deputowani, którzy w 1871 roku głosowali przeciwko rozwiązaniu gwardyi narodowej, do dziś jeszcze zasiadają na ławach Lewicy w Izbie. Nie zmienili oni dotąd, ani zdania, ani powodów, które im były pobudką do takiego, a nie innego głosowania. U steru rządu i pomiędzy ministrami i dziś widzimy zasiadających tychżesamych ludzi, którzy przed laty 15 domagali się zniesienia wojsk stałych. Otóż, jeśli przyjdzie ten czas, a oni uważają go za bliski, że gwardye narodowe zostaną wskrzeszone, pod jakąś nazwą, wówczas, nastąpi zupełne zrównanie i zgodność zdań pomiędzy urzędzeniem politycznym i wojskowym Francji. Będzie tak, jak jest w „wolnej“ Ameryce. Słowo piękne, ale niebezpieczne, ze względu na sąsiedztwo, którego nie mają Amerykanie. Ale jest jeszcze widmo—domowej wojny! Owóż każdy tu, będąc zdolnym do rządzenia krajem, tem bardziej jest zdolnym do jego obrony, bez nauki i przygotowania. Pochlebcy, co mu wmawiają ciągle, że jest bardzo rozumny i mądry, wzmówią mu łatwo, że jest dyable odważny. A jak przyjdzie do ostatecznego rozrachunku, wtenczas—pisuj na Berdyczów!

Od książek wojskowo-politycznych przechodzę do literatury podobnej. Jest książka i jest autor, o których dawno już powinienem był mówić czytelnikom moim. Jeżeli milczał, było to z namysłu, bo chociaż książka i autor narobiły tu wielkiej wrzawy, trudno było waszemu kronikarzowi wywijać się u uczciwie z tego zadania, uszanowawszy uszy czytelników. Francuzi w tym względzie są nieukróceni i niepoprawni; mają tyle sposobów omówienia, że rzecz najbrzydza, najbrudniejsza, da się wyrazić i napisać, bez zarumienienia. Te eufizmy są tak zwykłą rzeczą, że szkoła naturalistyczna musiała zawrócić do słownika XVI wieku i dać *in crudo*, co dotąd obwiano w bawelnę. Ztąd-to owe jaskrawe kwiaty, któremi są upstrzone produkcje Zoli.

Co zaś do kwestyi literackiej, w jej stosunku zewnętrznym, ta się upraszcza tem łatwiej, że cudzoziemiec, jakkolwiek zna język francuzki, nie potrafi nigdy uczuć całej wagi pewnych wyrażen i wyrazów mających żywy obieg w narodzie. Są to, można powiedzieć, jakby pewne tajemnicze masonskie znaki językowe. Dlatego to 95 setnych czyta powieści Zoli za granicą, nie czując ani tej obrzydliwej, ani tej odrazy, albo przyjemności, jakiej doznaje rodowity Sekwańczyk.

(Dokończenie nastąpi).

Warunki życia we wszechświecie.

(Dalszy ciąg ob. N. 28).

Dalej jeszcze p. Faye pisze: „Azot, tlen i para wodna są same przez się całkiem niedostatecznymi do utrzymania życia. Gdyby nasza atmosfera i nasze wody pozbawione zostały słabych śladów *kwasu węglanego*, jakie zawierają, życie wkrótce ustałoby na powierzchni kuli ziemskiej. Zaszłoby tożsamo gdyby stosunek tego gazu przeszedł pewne granice“¹⁾. Otóż jakkolwiek nasza atmosfera, w takim składzie, jak obecnie, jest środkami normalnym dla jestestw nią oddychających, to jednak znajdują się na ziemi istoty mogące żyć bez powietrza, i bez tlenu—i właśnie tlen je zabija! Przykładem niech będzie *Bacillus amylobacter*. Potrzeba im również, dorzuca p. Faye, *nieco wapna*.²⁾ Czy tak? a czy niema jestestw niemających zgola wapna, które zastąpione jest krzemionką?

1) Rocznik z 1874 r. Str. 489.

2) O pochodzeniu świata. Str. 247.

Potrzeba jeszcze, aby to wszystko utrzymywało się w ścisłych stosunkach ziemskich. Analiza widmowa okazuje, że elementa pierwotnych ciał są wszędzie tezsame; wszędzie napotykamy tezsame powinowactwa, tezsame związki. Jednakże te elementa nie znajdują się wszędzie w jednakowych stosunkach¹⁾.

Potrzeba jeszcze „wylączyć ciała niebieskie, które, jak Saturn, otoczone są pierścieniami ciemnymi, których cień, odrzucony w sfery najprzejazniejszej rozwojowi życia, wytwarza tu i owdzie peryodycznie zaściania nieustające“²⁾.

Nie chcemy utrudzać czytelnika pomazaniem cytata. Te, które tu przytoczyliśmy, wystarczają aż nadto do okazania, że w umyśle p. Faye'a jedyny środek istnienia, jaki przyjmuje i jaki pozwala naturze urzeczywistnić, jest ten, jaki napotykamy obecnie na naszej planecie, w warunkach wistocie autorowi znanych. Wszelki ustrój planetarny, niepodobny do naszego, lub, lepiej określając, ustrój *nieiidentyczny* z naszym, jest najniefortunniej skazanym na bezpłodność wiekiustą.

Według tej opinii, z wyluszczenia samych zasad p. Faye'a wynika, że w całym wszechświecie jedna tylko ziemia jest zamieszkiwaną. I tak w naszym systemie słonecznym Mars ze swemi porami rocznymi, ze swemi wodami, atmosferą, meteorami, łądami, morzami, zbliżony jest w tym stopniu do naszej siedziby, że surowy nasz sędzia nie zdoła odmówić mu zezwolenia na pomieszczenie jestestw podobnych istniejącym na Kuli Ziemskiej. Zgadza się wszakże na to z niezmiernym żalem. Jednakże, powiada, wyznać potrzeba, że wygląd niezmienny tych łądów czerwonych, stanowiących kontrast z modremi morzami, nie jest wcale sprzyjającym pojęciu życia organicznego silnie rozwiniętego na jego powierzchni. Jak widzimy, autor rzuciłby chętnie ten mały nam sąsiedni świat w nicość ustroni nieskończonych i pozostawiłby jedną tylko ziemię, jak za czasów Ptolomeusza, wśród niezmiernych przestrzeni pustej i bezludnej.

Otóż ośmielamy się rzec, że cała natura protestuje przeciw tak ciasnemu pojmowaniu jej sił i wielkości. Wszystkie nauki organiczne, psychologia, chemia organiczna, paleontologia, mikrografia jednoczą się dla potwierdzenia, jak lichą jest zasadą obejmować potęgę życiową w małych ramach obserwacji bezpośredniej. Powołaliśmy się już wyżej na wymowny dowód pozyskany z badań podmorskich, zadający fałsz naturalistom krótkowidzom zaprzeczającym doktrynie wszelkiej możliwości życia w głębiach oceanów. Możemy zresztą wnosić o różności życia i jego odmianach cudownych niezwykłych z samych nawet ram przyrody ziemskiej.

VI.

Sama natura wygłasza swą potęgę, okazując nam najwybitniej, że sfera naszej bezpośredniej obserwacji obejmuje zaledwie malenki obręb przestrzeni w porównaniu z otaczającą nas nieskończonością. Przypuszczając, utrzymywając, twierdząc, że życie i myśl mogą przejawiać się na powierzchni innych światów tylko pod warunkiem znajdowania tam stanu fizycznego, chemicznego i fizjologicznego identycznego z tym, jaki około nas istnieje, nie jest, zaiste, pojmowaniem słów natury, lecz, przeciwnie, zaprzeczeniem jej nauk, jakich nam nie szczędzi, co do własnego naszego miejsca pobytu.

Czyż nie istnieją na samej ziemi dwa systemata życia całkiem od siebie odrębne? Czyż nasza planeta nie przedstawia dwóch oddzielnych elementów *wody i powietrza*, z których każdy posiada organizmy sobie właściwe? Jestestwa żyjące oddychaniem powietrznym giną dusząc się w elemencie, w łonie którego żyją jestestwa oddychające w wodzie—i odwrotnie. Gatunki roślinne i zwierzęce zamieszkujące morza, jeziora, rzeki i rzeczulki, nie są mniej licznymi od tych, jakie ożywiają łąd stały. Czyż fakt ten sam przez się

1) O pochodzeniu świata. Str. 248.

2) Rocznik str. 485 z 1874 r.

Z ŻYCIA WIKTORA HUGO.

(Dokończenie)

nie jest wystarczającym? Czyż zachodzi potrzeba powoływania się na tysiąc innych faktów uzupełniających i wymownych? Czyż ten podział przyrody ziemskiej na dwa odrębne, obce sobie światy, nie jest dostatecznym do utworzenia oczu tym, którzy przeczą istnieniu życia poza obrębem ziemi i do okazania im giętkości, przystosowywania się i nieskończonej różnorodności sił żywych natury?

Wszystkie jestestwa zamieszkujące ziemię są potomstwem przekształconych organizmów wód pierwotnych. Był czas, w którym ani jeden łąd ani jedna wysepka, nie wychylała swego czoła z wód niezmiernych oceanu powszechnego. Wówczas życie koncentrowało się całe w świecie morskim. Nie napotkano dotąd w pośród ciał kopalnych z epoki kambryjskiej, ani jednego zwierzęcia, któreby oddychało powietrzem atmosferycznym, ani jednej rośliny, któraby żyła w powietrzu otwartym. Wszystkie organizmy bez wyjątku, rośliny i zwierzęta były jestestwami wodnymi, zarodkowymi, bez głowy, bez mózgu, bez serca, głuchymi, niemymi, ślepiemi i pozbawionymi płci. Takimi były monery, których poznano już dotąd piętnaście rozmaitych gatunków, amiby, dziurkowce ¹⁾, okrzemki (diatoma), galionele, bacylarye, bilobity, zwierzkorzewy przeróżnych rzędów, gąbki, polipy i t. d. Takie-to były jestestwa i gdyby istniały jeszcze same tylko wyłącznie, któż mógłby przewidzieć możliwość istnienia w ich następstwie człowieka? Przewidzieć tego z pewnością nie mogliby ci, którzy nie widzą poza granicą swego horyzontu. Takie-to wskazówki daje nam natura i czy podobna pozostać ślepyim wobec tego rodzaju świadectw! Jakże dziwne były to jestestwa! Nie posiadały one ani wzroku, ani słuchu, ani powonienia, smak zaś w stanie zarodkowym; natomiast dotyk zastępował u nich wszystkie brakujące im zmysły, lecz dotyk ten w niczem nie mógł być porównany do nam właściwego dotyku. Okrzemki są jakby geometryą żyjącą; wszystko jest w nich geometrycznym, tak, że możnaby je poczytywać za produkt chemiczny wytworzony według zasad architektury atomów. Polipy przeciwnie, wydają się nam być pierwszym potwierdzeniem siły życiowej, stwierdzeniem samoistnym, energicznym wieczystem. Potnijcie polipa na tyle kawałków na ile wam dozwolą nożyce. (Trembley pociął polipa na pięćdziesiąt kawałków!), nie wyrządźcie mu tem najmniejszej krzywdy, każdy z tych kawałków uzupełni się po upływie kilku dni, i wytworzy w ten sposób dwóch, czterech, dziesięciu, pięćdziesięciu polipów. Wywińcie polipa, jak rękawiczkę, na odwrotną stronę; naskórek jego zewnętrzny stanie się żółdkiem, a żółdek naskórkiem, i zwierzątko żyć będzie w zdrowiu pożądanem. Polip jeden może połknąć drugiego i połknięty nie zostanie przecież strawionym, lecz będzie istnieć i po pewnym czasie wyswobodzi się ze swego więzienia, zacznie się pluśkać w wodzie; a następnie wieść będzie życie spokojne, jak gdyby nic w niem nie zaszło. Gdybyśmy wszakże zanim jeden polip połknie drugiego, wywinęli jak rękawiczkę na drugą stronę, polipa mającego wejść w ciało swego towarzysza, naówczas dwie powierzchnie wewnętrzne ich ciał, będąc, z sobą w ten sposób zetkniętymi, spoją się z sobą w tym stopniu, że dwa te jestestwa wytworzą jedno, a nowy polip, powstały z dwóch tych osobników, istnieć będzie, jak gdyby nic nie zaszło w ich życiu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

1) Polipy ślimaczkowate (Polythalamia) zwierzątka mikroskopowe, zamknięte w skorupkach wapiennych, wielokomórkowych, ponakalanych licznymi otworkami, które służą im do wypuszczania nazewnątrz łagiewek nitkowatych.

(Przypisek tłumacza).

Rys-to jest charakterystyczny, tak człowieka, jak i uczuć jego. Miłość, która odzywa się z siłą nieprzepartą w chwili wielkiej boleści, która pragnie widoku kobiety ukochanej: to nie namiętność, ale uczucie głębokie i prawdziwe, łączące ducha z duchem. W domu Adeli Foucher wszyscy wiedzieli o woli rodziców, rozdzielającej młodą parę; przecież nikt nie śmiał stawić zapory młodzieńcowi przybywającemu tu od świeżej mogiły. Stary, zaufany sługa, który mu drzwi otworzył, zaprowadził go do ukochanej w milczącym współczuciu, rodzice uszanowali ich sam na sam. W kilka dni potem Wiktor zapukał do ich drzwi; przychodził powiedzieć im o danem mu słowie ich córki, za dumny i razem za uczciwy na przechowywanie tajemnicy tego rodzaju. Roztropność starszych musiała też ustąpić przed siłą tej miłości młodych; Adela wyznała wobec rodziców, że kocha i kochać nie przestanie, że uważa się za narzeczoną i zezwolenie rodziców uswięciło na koniec ten ślub serc. Ale trzeba było niemniej czekać, aż biedny młodzieniec potrafi zbudować sobie jakie takie ognisko domowe.

Jak Wiktor Hugo był ubogim wtedy, jakie wtedy wiódł życie, opisał to w jednej z tych powieści, które przynosiły mu krocie. — Maryusz z *Les Misérables*, to on u początku literackiej kariery swojej: tak jak tamten fikcyjny jego bohater, zamiatał szarym świtem sien swoją i schoły, aby nie płacił za to nikomu, kupował u przekupki sera Brie za solda — wyraźnie za jednego solda — a chleb u piekarza zprzeciwka o zmroku wieczornym i niósł do izdebki pod strychem te przysmaki drogie, tak kryjąc się z niemi, jakgdyby ukradł je komu. A jak nieśmiało, jak niezgrabnie wchodził do sklepu rzeźnika, nie umiając torować sobie drogi między kucharkami, które popychały go gniewnie, jak się kłaniał chłopcu posługującemu, jak zdejmował kapelus przed rzeźniczką, prosząc ją o kotlet barani, który sam smażył sobie w domu, a którego nie śmiał nigdy wybrać sobie wedle gustu! Ten kotlet, to za chudy, to za tłusty, musiał starczyć mu przez dni trzy i odrazu też dzielił go na trzy części, aby nie zjeść łakomie odrazu.

Przeszło rok żył z 700 franków, które zarobił sobie pisując do *Konserwatora* i innych pism. Z tego przecież nie można było utrzymać żony, nie można było skazywać jej na życie jakie wiódł sam. Przecież Lamartine, z którym łączył go zawsze stosunek bardzo przyjazny, wydał w tych czasach *Medytacje*, które zostały rozkupione i przyniosły autorowi ich zysk pewny. Brat starszy, Eugeniusz, poradził Wiktorowi, aby uczynił to samo. Jego *Ody i Ballady* zebrane razem utworzyły też spory tomik, i wydane w r. 1822, choć tylko na szarej bibule, zyskały sobie rozgłos tak niepospolity, że pierwsza edycja została prędko wyczerpaną i druga nastąpiła zaraz po niej, jeszcze w tym samym roku. Pierwsza przyniosła mu odrazu tyle, co mozolna praca całoroczna — 700 franków; druga, odbita już na welinie, 1200 frank. i nadzieja zaczęła wstępować w serce poety, a rodzice ukochanej przezeń dziewczyny, zaczęli również wierzyć w przyszłość literackiej jego kariery. Od owej chwili uroczyste uznanych zaręczyn, wolno mu było bywać w ich domu raz na tydzień, w niedzielę; czasami tylko matka Adeli użalała się ich wzajemnej tęsknoty i pozwoliła zobaczyć się niby przypadkiem w ogrodzie Luksemburskim, ale teraz łaska ojca wzmogła się tak bardzo, że Wiktor otrzymał zaproszenie przedpędzenia razem lata w Genilly, wiejskiej posiadłości pod Paryżem. Było to już prawie szczęście. Przebywać razem dzień cały! chodzić po ogrodzie przy świetle księżyca! Wiktor pisał do brata Eugeniusza: — „Jestem jakby w niebie“... gdy naraz to niebo odemknęło mu jeszcze górniejszy swój przybytek. Mógł zaraz nastąpić

ślub — wesele — połączenie się na zawsze. bo młody poeta otrzymał od króla Ludwika XVIII-go pensją roczną — pensją 1.000 franków.

Spadło to nań niespodziewanie, bez żadnych z jego strony zabiegów. Wiktor Hugo był od lat najmłodszych za szlachetnym na to, aby prosić o pieniądze i sądził też, jak i wszyscy, że jest to skutek sławy, która już zaczęła go opromieniać. Myłono się przecież: bardzo smutny dramat łączył się z tym faworem losu i gdy w jakiś czas potem młodzieniec dowiedział się, co mu sprowadziło to szczęście, wydał krzyk przerażenia. „Mogło to być stać się ceną krwi!“ — zawołał, uciekając z gabinetu ówczesnego dyrektora poczt, Roger, który jako również poeta i Akademik, opowiedział mu pokoleżeńsku historią jego wyniesienia.

Syn oficera Armii Napoleońskiej, służącego niegdyś pod rozkazami generała Hugo, Dillon, został w r. 1822 zamieszany w spisek przeciw Burbonom. Jeden ze sprysiężonych, Cafe, unikając aresztowania, przeciął sobie żyły szkłem. Dillon zaś uciekł. Uciekł, ale go poszukiwano, dzienniki pisały o tem i Wiktor Hugo przypomniał sobie nagle młodego kadeta, który nieraz huśtał do góry trzyletniego malca, który go obnosił na plecach po podwórzu koszar w Clichy, i serce wzruszone temi wspomnieniami, rozżaliło się w młodzieńcu. Mały pokoik przy ulicy Mézières, zajmowany po śmierci matki, był najęty rocznie; przy pomysłnej zmianie pieniężnych swych interesów, poeta zmienił też i pomieszkanie, przeprowadził się na ulicę Dragon, gdzie wspólnie z kuzynem swoim zajmował dwa pokoje, już wyżej trochę, bo na 4-tem piętrze, ale tamta izdebka pod strychem jeszcze należała do niego i była wolną, tam więc mógł przyjąć i ukryć Dillon'a. Rodzice jego jeszcze żyli, mieszkali w Saint Denis; Wiktor Hugo napisał do matki ściganego, aby, jeżeli wie gdzie syn jej się obraca, dała mu znać o jego chęci i możliwości przechowania go bezpiecznie. Tak się zdawało napozór; znane uczucia Wiktorowi dla Burbonów pozwalały to przypuszczać, i młodzieniec przez kilka wieczorów oczekiwał biednego zbiega w miejscu spotkania, oznaczonym w liście, i na szczęście, oczekiwał daremnie. Dillon uszedł już za granicę, do Anglii, z kąd potem dostał się do Grecji i w wojnie za jej niepodległość, zginął jako szef artylerii w legiońcu cudzoziemskim, utworzonym przez Byrona. Gdyby przecież rzeczy były wzięły inny obrót — gdyby Dillon był się stawiał wtedy na wezwanie, pochwycony przez policję, byłby zawleczonym do więzienia, a potem na szafot, bo pieczęć listu Wiktor Hugo, została na poczcie naruszoną i listu użyto jako pułapki.

Przecież z drugiej strony uderzył on Ludwika XVIII, który w tej propozycji ocalenia życia nieszczęśliwego zbiega widział szlachetny następój uczuć młodego poety. — Ma on nietylko talent, ale i serce!... miał — zawołał ze wzruszeniem król, który sam był kiedyś uciekającym wygnanym, gdy sprawa listu została mu przedstawioną, i w miejsce kary nastąpiła nagroda, która jednak mogła być stać się fatalnością życia poety. Na szczęście, nie wiedział on nic o tem wtedy, gdy szczęśliwy stanął u celu najszlachetniejszych swych pragnień. Zezwolenie rodziców narzeczonej już posiadał, trzeba mu było przecież otrzymać je od ojca, i udał się do niego, do Blois. Już wtedy pewna nowa praca myśli zaczęła się odbywać w umyśle młodzieńca i zbliżał się też do ojca ze zmienionym na wiele rzeczy poglądem. Porozumieli się więc więc lepiej, pojęli głębiej i generał Hugo napisał w tym czasie do przyjaciela swego, generała Lemercier: „Dziecko miało pojęcie matki, mężczyzna będzie wyznawał przekonania ojca“... i od tej chwili związał się między ojcem i synem tklivy stosunek miłości i szacunku wzajemnego. Choć generał ożenił się raz drugi, nie wpłynęło to przecież zgoła na uczucia ojca i syna których serca zbliżyły się jeszcze więcej w obce nieszczęścia, spadającego na nich gromem strasznym. Eugeniusz Hugo miał też w sercu miłość skrytą, ale inaczej nieszczęśliwą jak Wiktor, a było-to snadź serce namiętne uczuć gorących i od pewnego czasu smutny, zamknięty w sobie młodzieniec, został nagle uderzo-

ny obłędem na weselu brata. Ojciec przybył do Paryża, aby czuwać nad nim i godziny przepędzane z młodym synem u jego łóżka dokonały ostatecznego zjednoczenia. General Hugo był też niepospolitym człowiekiem jak serce i myśl; pisał uczone dzieła w swoim zawodzie, a nawet w młodości pracował na tejsamej niwie co syn — pisał poezje i romanse. Później życie samo stało się dlań jakoby romansem i należy tu dodać dla charakterystyki, że ten rycerz rewolucyj, który ukorzył Wandę, biorąc w niewolę jej bohaterów, ocalił wtedy życie siedemnastu księży, którym dawał schronienie aż w skrytkach swego namiotu.

Młoda para, odchodząc od ołtarza liczyła razem lat trzydzieści siedm; mąż miał w kieszeni osiemset franków i kupił z tego żonie szal, kaszmir francuzki, a sobie piękny garnitur granatowy „bleu barbeur“ ze złotymi guzikami. Za to też zasiadł do pracy nazajutrz po ślubie i skończył w kilka miesięcy *Hana Islandyi*, za którego otrzymał 1.000 franków: „Jestto książka bardzo barmlódowego pisarza“, napisał o niej później on sam; krytyka krzyknęła też na „szaloną wyobraźnię“ odpowiedziano jej, że tak jest niewątpliwie, ale dodano, że zarazem okazuje się ona potężną, że książka mieści przepysznie malowane krajobrazy i wzruszające sceny miłości, sumienne i niepowierzchowne studia historyczne, co wszystko razem sprawiło, że druga edycja, zakupiona z góry przez księgiarnię Lecointre et Durey przyniosła autorowi coś jak deszcz złoty — 10.000 franków!

Kiedy mąż odebrał list, donoszący mu o radosnym wypadku, krzyknął na żonę będącą w drugim pokoju. — Adelo! — wołał, jakgdyby się paliło — Adelo!... a potem porwał ją w objęcia i całował w szalony sposób. Nazajutrz poszli we dwoje na Paryż, szukając pomieszkania, do którego przenieśli się wkrótce i zaczęli przyjmować gości. Między innymi bywał tam Lamartine z żoną, Angielką i wielką damą; młodzi małżonkowie zostali też nawzajem zaproszeni do nich na wieś i wybrali się tam bardzo uszczęśliwieni. P. Wiktoria Hugo posiadała piękną jedwabną suknię brązowego koloru, z której czuła się dumną. Po przyjeździe i odpoczynku kilku chwil ubrała się w nią, i bardzo zadowolona z siebie zeszła z pierwszego piętra do salonu, gdzie przepędziła przyjemnie parę godzin w towarzystwie gospodyni domu i jej siostry. Ale nad wieczorem panie te oddaliły się znów na górę, żegnając ją do widzenia. Szły się ubrać do obiadu, na co ona otworzyła szeroko oczy, które uderzył wkrótce widok przestraszający niebogę. Gospodyni wraz z siostrą ukazały się u stołu w wyciętych balowych sukniach, z kwiatami we włosach, z klejnotami na szyi i rękach. Wizyta została skrócona do dwudziestu czterech godzin, ponieważ p. Hugo spostrzegła, że nie miałyby w co przebierać się tak ustawicznie.

Gdy się pomyśli jak smutnym, jak żebraczo upakarzającym był koniec Lamartine'a, anegdota ta z życia dwóch poetów, wygląda na bajkę morna na ułożoną umyślnie dla nauki młodych pań.

Niejako od tej chwili życie Wiktora Hugo tak człowieka, jak poety przedstawia ciągle i szczęśliwy postęp naprzód. Umysł jego dojrzewa i potężnieje, przekonania wyrabiają się i modyfikują, jakkolwiek pożądanie dobra i piękna zostaje nigdy niezachwiane, nigdy nie zmienione i zawsze jest on gorącym, entuzjastycznym wyznawcą idei, która według sądu jego pojęć wiodła go ku temu ideałowi. Przebywanie różnych stopni na tej drodze kształcenia ducha nazwał on sam (w studjum nad Voltaiem), „historją wewnętrznych rewolucyj ucziwego człowieka.“ Przebywają i przebywać musi każda osobistość szlachetna

i myśląca, każdemu też, kto dokonywał tych przeobrażeń sumiennie, idąc, nie za głosem innych, nie za modą wyobrażeń panujących, ale za wewnętrznych swych przekonań nakłonieniem, „wolno jest być dumnym z dokonania takiej pracy.“

Przecież tych zasad, które są moralnym gruntem człowieka, podstawą jego duchowego istnienia, nie zmieniał Wiktor Hugo nigdy. Gorąco kochającym Francją, patriotą i głęboko religijnym człowiekiem był on zawsze jednakowo, od początku do końca życia. To, co, młody, napisał niegdyś o księżce swego (i naszego) przyjaciela, księdza Lamennais: „Essai sur l'indifference en matiere de religion“, odpowiada niezmiennie ostatniemu testamentowi jego myśli religijnej: „Wierzę w Boga! Bóg i wiara w Niego jest to coś, czego człowiek nie może w życiu swoim zostawić na boku, czego nie może obejść obojętnie: oto niezmiennone nigdy przekonanie poety, i w tym też sensie broni on książki Lamennais'go: „Z zarzutami, które mu czynią, powinien każdy pojedynczo zwestamentować się do sumienia swego. Wady to, które chce on wygnać z serca ludzkiego, krzyczą tak przez usta nasze, jak przekupnie wypędzani ze świątyni. Mówimy, że ta książka surowa rzuca cię smutny, na życie, że ten ksiądz posępny ogołaca z kwiatów drogę istnienia ludzkiego. Zgoda na to... tylko, że kwiaty, wrywane przez niego, to te, które zasłaniają nam przed okiem przepaści!“

Znaczenie rodziny i świętość tej miłości, która, służąc jej za zawiązek, jest potem utrzymującym ją węzłem, nigdy też nie uległy zmianie w pojęciach poety, tak, jak i cześć kobiety zacnej. Przez wielką dobroć serca, którą mu przyznawali wszyscy blisko niego stojący, przez wielki żal nad upośledzonym, upadłym i pod ciężarem wzgardy ludzkiej pograżającym się coraz głębiej w błoto nędzy moralnej, przez wielką litość nad cierpiącym i wielką miłość bratnią człowieka — Wiktor Hugo dochodził w literackich swych kreacyach do ryzykownych, nad miarę prawdy życiowej śmiałych rehabilitacyi istot upadłych i wstrętnych potworności moralnych, ale tak w umiłowaniach jego serca, jak w czynach jego życia, piękno czyste i nieskalane miało zawsze tron swój wysoki. Wybujała i zapalająca się wyobraźnia, lubowanie się w antytezach i ztąd rzucanie jaskrawych świateł na tło cieni czarnych, mają tu również swój udział. Ciekawym szczegółem w literackiej historii Wiktora Hugo jest, że Marion Delorme inną wyszła z jego myśli, niż ją obecnie znamy. Poeta nie dał jej tam łaski przebaczenia, otrzymanego od kochanego człowieka. Didier szedł na śmierć, surowy i odtrącający potworną swą kochankę, i tak napisaną sztukę czytał Hugo zgromadzonym przyjaciołom i literatom trzymającym podówczas berło sądu w tych rzeczach. Przyjęto ją z niewymownem aż hałaśliwym uwielbieniem; Dumas, tak zarozumiały niezmiernie, napisał po jej wysłuchaniu w *Pamiętnikach* swoich: „Gdyby zażądano ode mnie dziesięciu lat życia, dając mi w zamian przyrzeczenie, że dosięgnę kiedyś takiej formy, takiej obrazowości, takiego wiersza, byłbym przystał na to w tej chwili!“ Ale wśród tego wykrzyku uwielbienia, który wznosił się wkoło poety, mającego lat 27, podniósł się i zarzut jeden. Merimée, Saint Beuve i Dumas, który to opisuje, wystąpili z żądaniem innego końca — chcieli aby Didier przebaczył winnej jej upodlenie i zwiędzenie go nieszczęsnie. Wiktor Hugo opierał się długo, uważając, że pomysł jego jest logiczniejszy i zarazem wytwarzający tragiczność, która potężniej uderza słuchaczy; ale napierano na niego, aż ustąpił, dodając przecież, że Didier może być

przebaczającym, chyba dlatego, że ma umrzeć. „L'échafaud explique seul sa clemence“ to wyraz myśli Wiktora Hugo, skonstatowany przez Dumas.

Tkliwe i niezmiennie ukochanie żony, zaślubionej w dziewiętnastym roku życia, uwielbienie w niej cnót kobiety szlachetnie poświęconej rodzinie i obowiązku kobiety czystej, dowodzi, że taki ideał kobiecości cenil najwyżej: „A toi! toujours á toi, que chantera ma lyre!“ pisał już będąc małżonkiem Adeli Foucher, lecz w poezjach jego znajduje się inna jeszcze, głębiej spowiadająca się strofa, zwrócona do tej żony także:

„Au-dessus des passions
Au-dessus de la colere,
Ton noble esprit ne sait faire
Que de nobles actions.“

Ale silniej miłosnym, silniej obrazującym stosunek poety do owej żony, podnoszącej się w miłości swojej ponad namiętność, bo nad gniew, jest ten głos pełen czci i wdzięczności bez granic:

„Oh! qui que vous soyez, bénissez la... C'est elle,
La soeur visible aux yeux de mon áme immortelle;
Mon orgueil, mon espoir, mon abri, mon recours...
Toit de mes jeunes ans, qu'espèrent mes vieux jours!
C'est elle — la vertu, sur ma tête penchée,
La figure d'albatre, en ma maison cachée!...“

Nigdy żaden mąż — żaden kochanek nie wypowiedział głębszego szacunku dla kobiety kochanej, nigdy nie postawiono wyżej wpływu żony na szczęście lub nieszczęście męża. Adela Hugo towarzyszyła mężowi na wygnanie i na obcej ziemi zamknęła oczy; przecież jej prochy wróciły do ojczyzny i leżą na wiejskim cmentarzu w Villequier, obok najstarszego i najwcześniejszego straconego dziecka, córki Leopoldiny, która zginęła śmiercią okrutną; utonęła wraz z młodym swym mężem w parę miesięcy po ślubie pod oczyma rodziców.

Druga córka Wiktora Hugo, jedyne dziecko, którego straty nie przeżył, jest biedną, obłąkaną istotą. Dwoch synów zmarło przed ojcem i ostatnią opieką jego starości była synowa, żona młodszego syna, Karola; ostatnią pociechą dwoje wnuków, pozostałych mu po tymże synu. Ta reszta drogich mu istot otaczała go do końca życia miłością i szacunkiem i wraz z drużyną wiernych przyjaciół i towarzyszy długiej tułaczki po obczyźnie, zamknęła mu oczy, która od początku do końca życia umiała zawsze podnosić się ku niebu, szukając tam, po nad gwiazdami wielkiego i dobrego Boga!

Na ziemi ideał poety był zawsze szlachetny i podniosły; pragnął on prawdy i sprawiedliwości, nie czcił nigdy siły i nie kładł jej przed prawem, nie kłaniał się potędze, której podstaw nie szanował. Miłość cierpiących, smutnych i nieszczęśliwych napełniało jego serce, które było zawsze wiernem, zmieniać się nie umiejącym.

Dodać należy, że nie przestał nigdy być naszym przyjacielem, że dzieje nasze znał i święta wielkich rocznic naszych obchodził tak, jak święta rocznic wielkich dla francuzkiego narodu.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 12-ty i 13-ty powieści pod tyt.: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey.

TREŚĆ. Cierpieć (Pati), z W. Hugo, poezya, przez Klemensa Podwysockiego. — Kartka z pamiętników poety, III, (dalszy ciąg). — Odpowiedzi na kwestyonaryusz rodzinny, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Nigdzie mu dobrze nie było, obrazek z życia, (dalszy ciąg), przez Quis'a. — Nowiny paryżkie. — Warunki życia we wszechświecie, (dalszy ciąg), przez K. Flammariona. — Z życia Wiktora Hugo, (dokończenie).
Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty i 13-ty powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 32.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

PRZEGLĄD MÓD.

Co i jakie brać w drogę i dla erego? — Co się gdzie dziś nosi? — Jakie fasony i kolory się głównie przyjęły w letnim sezonie. — Kapelusze formy „mitry“. — Największa nowość paryzka rękawiczki.

W chwili największej postępy na wiadomości o modach, cóż wam mogę powiedzieć szanowne czytelniczki moje? ponieważ prawie wszystkie jesteście zapewne u wód, na brzegu morza, w kąpielach, lub na willegiaturze, więc zapewne uznaliście słuszność zdania, że wyjeżdżając nawet na 2 do 3 miesiące, nigdy więcej nad trzy, najwyżej cztery suknie z sobą brać nie można i to trzy lub dwie w kufier, a czwartą lub trzecią na siebie. Suknie te naturalnie powinny być całe i trwałe — nie zbyt strojne — spacerowe, fasonu takiego, aby nie uległy zbyt niemu zgnieceniu i niepotrzebowały odświeżania na miejscu, co zawsze z trudnością przychodzi. Kto inaczej zrobił, z pewnością żałował, bo doświadczył, co to za ambaras, te wielkie kufry — następnie to umieszczanie i gnienie tych sukien w małej szafce, jaką się zwykle dostaje na dwie osoby w każdym miejscu kąpielowem, słowem ten zawrót głowy i nieporządek jaki powstaje ze zbytnej ilości rzeczy mieszczących się w jednym — zwykle małym pokoiku. Tem więcej są to słowa prawdy dziś, gdy już zupełnie wyszły z mody owe, kiedyś bywałe stroje u wód — nawet w Karlsbadzie, Marienbadzie i Trouville, minęły owe świetne czasy i tylko do wyjątków liczyć można paryżanki lub wiedeńki, pokazujące sobie wzajemnie nowości strojów. Ogół kobiet ubiera się skromnie, modnie i gustownie, ale o wykwiatach i bogactwie mowy dziś nie ma — jedwab został już tylko wyjątkowo starszych kobiet i to w ciemnych barwach — mówimy tu zawsze o letnim sezonie. To wszystko oprócz dobrego gustu, wywołał i ogólny stan eko-

nomiczno-finansowy Europy — dziś skromna, ładna i modnie zrobiona w domu, lub w skromnej pracowni suknia spacerowa kosztuje do 30 rubli, mniej więcej — gdy temu lat 40, za tę samą kwotę, miało się ciężką jedwabną — o tyle wymagała przystroju, roboty i t. p. były mniejsze.

szczupłych a wysokich osób — niskie, tłuste i grube potwornie w nich wyglądają; z dwóch modnych w Paryżu kolorów: zielonego i brązowego — u nas ten ostatni lepiej się przyjął i to głównie w jasnych tonach od koloru jasnego chlebowego, drzewnego, grzybowego i całej gammy jasnych kolorów, podchodzących pod brązowy.

Z zielonych tylko kolor niewyraźny mchu się utrzymał, bo jest mniej ekscytryczny i mniej bijący w oczy. Kolory modne zielone, jasne i wyraziste, jak pistacy lub absyntu, właściwsze są i najlepiej noszone w przybraniu kapelusza, na przykład: kapelusz czarny lub ciemny słomiany, przybrany tuffem piór lub wstążek morowych, dziś tak modnych zielonych w połączeniu z aksamitem odcieniu cielistego, lub nawet poziomkowego. Przypominamy, że kapelusze formy „mitry“ są śmiesznością, jeżeli nie idą w parze z ładną twarzą i elegancką toaletą, zastosowaną do okoliczności.

Jednak i fantazyja mody nawet w martwym letnim sezonie nie próżnuje; największą nowością paryżką są rękawiczki ze skóry juchtowej, której odrębny zapach stanowi cały wdzięk; rękawiczki te mają stanowczo zastąpić rękawiczki zwane „Derby“, skórzane, z dużym mankietem, tak niewłaściwie niekiedy używane. Gatunek skóry jest ten sam, to jest gruby, trzy razy na środku ręki stępowany gęsto, różni się tylko kolorem czerwonym, właściwością tego gatunku skóry — nie jest to ów mocny czerwony, lecz ciemno-czerwony, miły dla oka i stosowny do wszystkich obecnie noszonych kolorów kostiumów. Ta arystokratyczna rękawiczka przyjęta już została przez najpierwsze elegantki Paryża.

L. C.



Przód. Nr 1 i 2. Okrycie krótkie z repsu „ottoman“. Plecy. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 39—44.

Co do przyjętych fasonów, to suknie zwane „paysanne“, czyli spódniczki marszczone, bardzo bufiaste od pasa, są ładne tylko dla młodych i to

Rycina Nr 4—6.
Serwetka z grubego szarego płótna i oliwkowego pluszu, przybrana haftowanym szlakiem

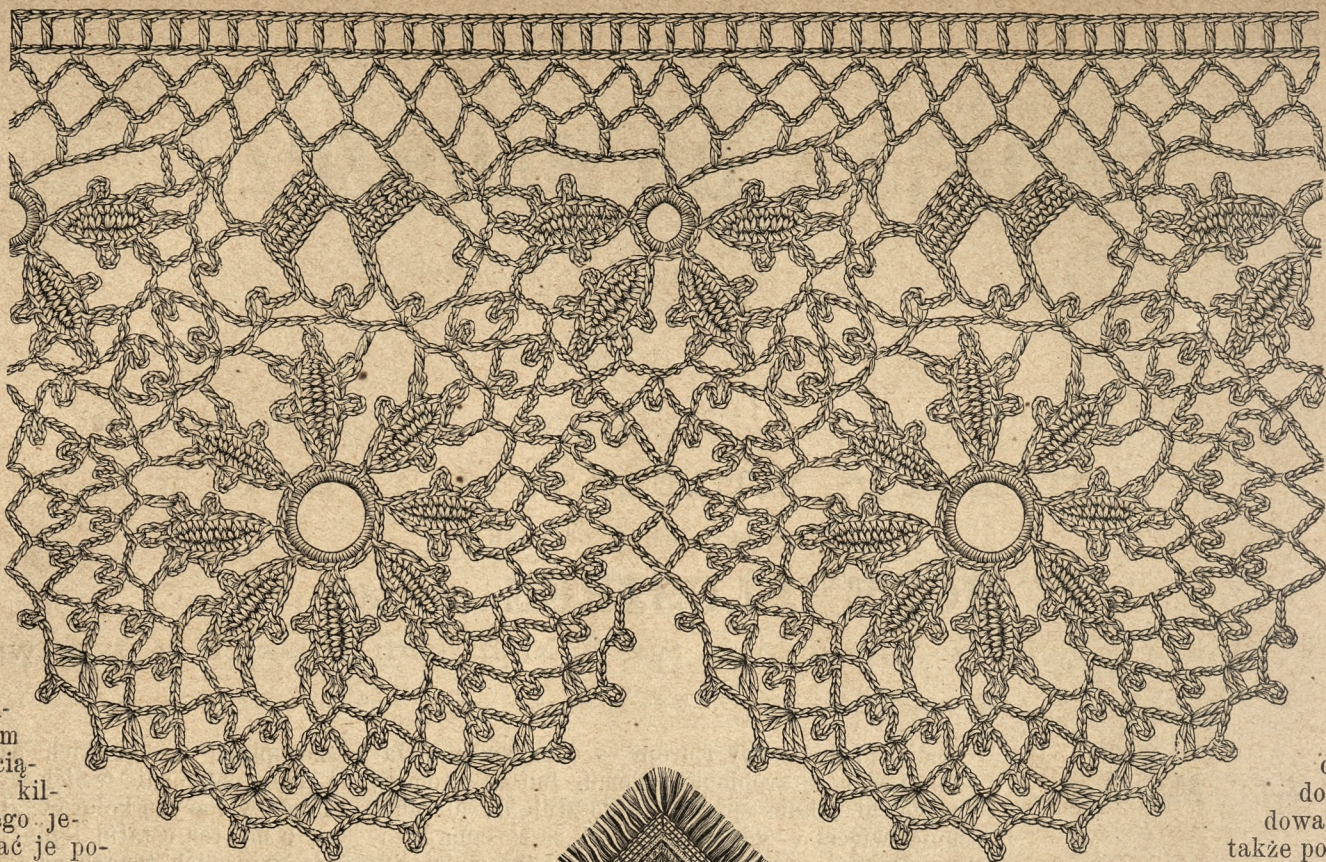
Serwetka pocztowym i gałkowanym ścięciem metalowymi nićmi.

i oszyta frendzlą. Rogi szlaku haftują się podług ryc. 6, boki zaś podług ryciny 5, na 48 cent. w kwadrat kawałku płótna; po przeniesieniu na płótno w z o r u, pokryć kwiaty do haftu metalowego (którego wykonanie podaliśmy w roku zeszłym w N. 1 Blusz.) cienkim białym tiulem. Przeciagnąć wewnątrz konturów deseni metalową nić raz przy razie, w małym odstępnie, podług ryciny i przymocować poprzecznymi ścięgami żółtego, pąsowego i niebieskiego jedwabiu, obwieść kontury cienkim złotym sznurkiem, potem uciąwszy wystający tiul, kilkoma nitkami czarnego jedwabiu i przymocować je poprzecznymi ścięgami bardzo cienkiego jedwabiu. Kwiaty i liście haftują się różnobarwną rozpolowioną filozelą, płaskim ścięciem i obejmują czarnym jedwabiem, a mianowicie: wązkie listki i łodyżki kwiatowe oliwkowym kolorem, a liście dwoma cieniami palonej cegły, boczne kwiaty lila i innym modnym kolorem; kwiaty znajdujące się u góry niebieskim, lila, brązowym i ceglastym jedwabiem. Po wykończeniu szlaku przyfastrzygować na środku serwetki 23 c. kwadratowy kawałek pluszu, brzeg przykryć wązkim szlakiem, na zrobienie którego trzeba naciągnąć wielokrotnie nitki pąsowego jedwabiu jedna przy drugiej i przymocować wszystkie poprzecznymi ścięgami z tegoż jedwabiu, przyszywając zarazem plusz; potem w odstępnie pół cent. zrobić drugi taki szlaczek i zapelnąć przestrzeń pomiędzy nimi haftem ścięciem pocztowym, blade-niebieskim jedwabiem. Dalej zrobić wyżej opisany szlaczek na brzegu serwetki, podłożyć podszewką i oszyć frendzlą.

Kołnierzyk chusteczkowy.

Rycina Nr 7.

Na chusteczkę stosowną do śpiczasto wyciętego stanika, potrzebny jest kwadratowy, 56 cent. duży kawa-



Nr 3. Koronka do sukien



Nr 4. Serwetka łańcuszkowym i pocztowym ścięciem. (Do ryc. 5 i 6).

szydełkową robotą.

łek crêpe-de-chine, który się składa w trójkąt i oszywa po zaokrągleniu środkowych rogów, dwoma rzędami 6½ cent. szerokiej żółtawej jedwabnej kórunki, poprzednio z lekka zmarszczonej.

Kołnierzyk chusteczkowy.

Rycina Nr 8.

Na kołnierzyk ukroić 19 cent. długi, a 4½ cent. szeroki, skośny kawałek podwójnie złożonej jedwabnej gazy i przyszyć do końców 17 cent. szerokie, z przodu 15 c. długie, a do tyłu ścięte do 7 cent. długości, ufałdowane kawałki tejże gazy, także podwójnie złożonej. Następnie pokryć kołnierzyk 10 cent. szeroką uplisowaną, przy brana pukielkami ze złotych i białych perełek, koronką, przyszywając ją po lewej stronie kołnierzyka i wykładając na wierzch; szersze zaś końce kołnierzyka pokryć dwoma rzędami takiejże uplisowanej koronki, aby formowała zabot. Kołnierzyk spięty kolorowym jedwabnym sznurkiem, podwójnie złożonym i zakończonym grełkami podług ryciny.

Suknia z etaminy, mory i koronki „lama“.

Rycina Nr 12

Spódnica z podszewki, pokryta drugą spódnicą „paysanne“, uszyta z równych brytów etaminy, przybrana u dołu 25 cent. szeroką koronką „lama“, ułożoną w głębokie kontrafałdy, a ozdobioną z boku dużą kokardą z oliwkowej mory. Krótki staniczek z etaminy, z morową kamizelką, kołnierzykiem i mankietami; głębokie wycięcie stanika, z przodu zakryte uplisowanym crêpe-lisse.

Suknia z gładkiego i w deseń fularu.

Rycina Nr 13.

Spódnica oszyta u dołu wązką uplisowaną falbanką, przód pokryty zmarszczonym u góry, a podwiniętym



Nr 5. Haft do ryc. 4 płaskim i łańcuszkowym ścięciem. Wielkość naturalna.



Nr 6. Haft do ryc. 4 płaskim i łańcuszkowym ścięciem. Wielkość naturalna.

u dołu fularem w deseń, boki i tył gładkim, oszitym koronką i ułożonym w fałdy fularem. Krótki staniczek przybrany koronką, bawetowym paskiem z „satin-merveilleux“ odpowiedniego koloru i napierśnikiem formą chusteczki.

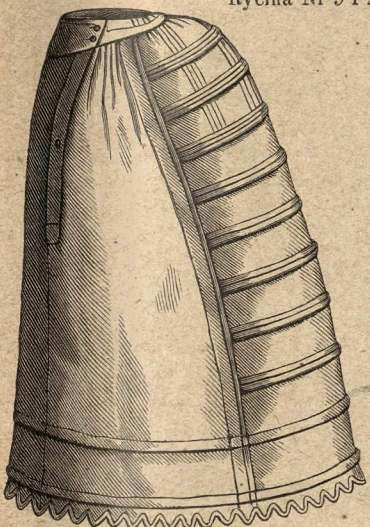
Suknia z batustu.

Rycina Nr 20

Spódnica z podszewki objęta uplisowanym wolantem z żółtawego batustu; długie, skośnie zapięte wement, zrobione z batustu w deseń, udrapowane z przodu podług ryciny, a przybrane żółtawą marszczoną koroneczką.

Suknia z wełnianej krepy.

Rycina Nr 9 i 21.



Nr 10. Krenolina. (Do ryc. 11). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 22 do 25.

rokami wolantami z koronki „lama“. Tiunika z przodu krótka, formuje dwa śpiczaste końce, z tyłu upięta bufiasto; duża kokarda z repsowej wstążki, 6 centymetrów szerokiej, dopełnia przybrania spódnicy. Krótki, ścięty w bawet staniczek, z kołnierzykiem i mankietami ze złotej pletni, przybrany bukietem różnobarwnych róż, podług ryciny.



Nr 7. Kołnierzyk chustecz.



Nr 9. Suknia z wełnianej krepy. (Do ryc. 21).

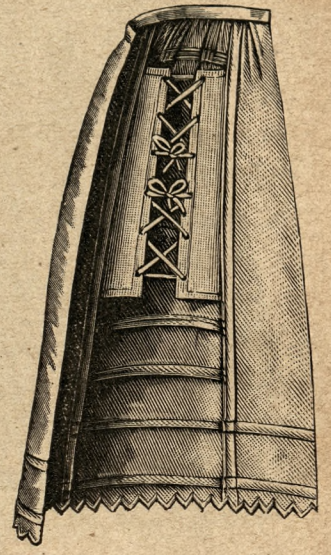
Spódnica 224 centymetrów obwodu w dole mająca, z żółtawej wełnianej krepy, oszyta tamże 10 centymetrów szeroka, ułożoną w kontrafałdy falbanką i pokryta trzema 27 centymetrów sze-

dno przez minutę w ukropie, dla odebrania mu zbytnej wilgoci — można włożyć w miejsce wydrażonych ziarenek konfitur wiśniowych, przykryć ciastem francuzkiem, z którego także większy krążek wykroić, bo go rozciągać nie można — posmarować jajkiem, posypać grubym cukrem i wstawić w gorący piec na dwadzieścia minut.



Nr 8. Kołnierzyk chusteczkowy.

stępnie włożyć tak ściśle owinięte mięso w głęboką glinianą donicę, lub drewnianą faszczkę; co dzień nieodwijając przewrócić, a po pięciu, najwyżej sześciu dniach, pekefleisz wyborny będzie już do użytku zdatnym.



Nr 11. Tył krenoliny. Wewnętrzna strona. (Do ryc. 10). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V fig. 22-25.



Nr 12. Suknia z etaminy, mory i koronki „lama“.

Nr 13. Suknia z fularu gładkiego i w deseń.

Mały kawałek pekefleiszu szybko nasolony.

Gdzie są tylko dwie lub trzy osoby, lubiące pekefleisz, tam należy go solić w następujący sposób: Pół funta soli kuchennej śniegówki, pół luta saletry i cztery luty cukru, utłuc, wszystko wymieszać, posypać tem kawał mięsa krzyżowego lub zrazowego od 7 do 8 funtów ważący — najwyżej 9 funtowy — połozyc parę listków bobkowych i kilka ziarenek przetłuczonego kolendru, zawinąć tak posypane mięso w czyste grube płótno umoczone w ciepłej wodzie i mocno z niej wyciśnięte — na-

Paszteciki do zupy z kaszki krakowskiej.

Ugotować kwaterkę zwyczajnej drobnej gryczanej kaszki, na gęsto z solą — wystudzić. Zrobić farsz z mięsa pozostałego, jak na zwykle pierogi — mięso usiekać, włożyć w masło z przesmarzoną cebulką pieprz, sól, jedno żółtko, wymieszać dobrze. Mieć w rondelku płaskim przygotowaną gorącą fryturę — brać na łyżkę kaszkę, rozłożyć ją płaską warstwą, włożyć trochę farszu mięsnego, połączyć kaszkę, aby farszu widać nie było; umoczyć całą kaszkę, nadając jej podługną formę jajka — w rozbitem jajku, posypać bułką przesianą i rzucać dla nadania rumianego koloru i rozgrzania w gorącej fryturę — gdy się tylko zrumieni, wyjmować łyżką durszłakową i podawać zamiast pasztecików do zupy.

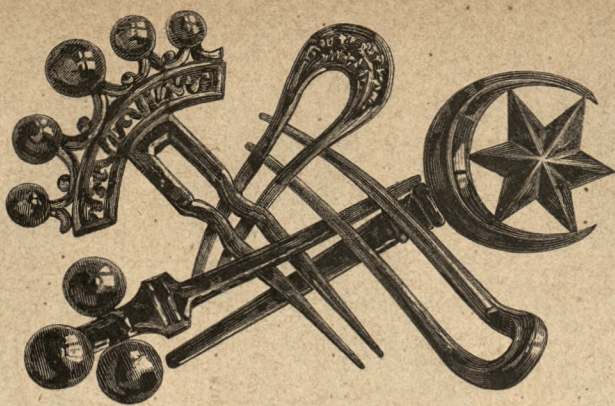
Doświadczenia gospodarskie.

Jajka na twardo gotowane, poznają się czy mają dosyć, jeżeli za wyjęciem z gorącej wody w tej chwili obsychają.

Przepisy gospodarskie.

Jabłka w cieście francuzkiem i kruchem.

Zwykle jabłka robią się na francuzkiem cieście — jednak z tego właśnie powodu, a nie z innego, ciasto pod spodem ma zawsze zakalec. Dla uniknięcia tego najlepiej jest zrobić kruche ciasto z pół funta mąki, ćwierć funta masła, łyżki cukru i jednego jajka, rozwałkować je na grubość tylca noża, powykrawać szklanką krążki, połozyc na każdym pół dużego, kruchego jabłka, które odparzyć poprze-



Nr 14—18. Śpiłki do włosów z ciemnego i jasnego szylkretu.



Nr 19. Suknia z wełnianego materiału w pasy.
Krój i opis odwr. str. tabl. VIII, fig. 45—50.



Nr 21. Suknia z wełnianej krepy. Przód. (Do ryc. 9).

Zaraz je należy kłaść w zimną wodę, bo się inaczej źle obierają ze skorupki. Przypominamy, że jajka na twardo gotują się 8 minut, a na miękko dwie i pół minuty; w zimie gdy są bardzo zimne 5 minuty.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z kalafiorów „purée“.
2. Pieróg z mięsem i ryżem w drożdżowym cieście.
3. Cąber barani z mizeryą.
4. Suflet malinowy.

U W A G A.

Tablica krojów, dołączona do dzisiejszego numeru, służy też do N-ru 33 Bluszczu.



Nr 20. Suknia z batystu.



Nr 22. Okrycie z etaminy i mory. Przód. (Do ryc. 23).
Krój i opis odwr. str. tab. Nr I, fig. 1—8



Nr 23. Okrycie z etaminy i mory. Plecy. (Do ryc. 22).